



# Głos



## regionalistów

dodatek  
do Głosu Ziemi Bychawskiej  
redaguje

**BYCHAWSKIE  
TOWARZYSTWO  
REGIONALNE**

**4** (15)  
**2004**

*Ulice, domy, ludzie*

**czwarta część wspomnień Macieja Paneckiego  
o Bychawie lat trzydziestych XX wieku.**

## Ludzie, lata, losy

*Maciej Panecki, Warszawa*

### RZEMIEŚLNICY ZGONNICY I ...INNI

Dużą grupę mieszkańców Bychawy, poza rolnikami, stanowili wśród ludności pochodzenia polskiego, rzemieślnicy, a więc stolarze, cieśle, szewcy, krawcy, dwaj bracia Ciesielscy – Franek i Edek zdobyli zawód elektryków i zakładali między innymi instalacje w budynku gminnym, piekarze, rzeźnicy, młynarze (w Bychawie były 4 młyny wodne i jeden młotowy). Było trochę robotników stałych, jak np. stanowiących załogę mleczarni, czy szpitala, kowali i ślusarzy, sporo kupców, właścicieli sklepików i handlarzy, były dwie, a okresowo nawet trzy restauracje, dwie „herbaciarnie”, prowadzone przez półzakonnice, zwane w Bychawie „herbaciarkami”. Szczególną kategorię handlarzy bychawskich stanowili tzw. „zgonnicy”. Tak nazywano kupców dysponujących własną furmanką, którą przynosili się ze wsi do wsi i skupowali od chłopów nierogaciznę, czyli po prostu świnię. Każda furmanka konna zgonnika wyposażona była w siatkę z grubego postronka, zabezpieczające nią były przewożone wozami sztuki żywca. Młodzi na ogół, lub w średnim wieku mężczyźni, mający opinię „mocnych chłopów”, co było niewątpliwie odpowiednich dla nim określeniem, ze względu na wykonywaną profesję, jeżdżąc po wsiach, często wracając do domu nocą, narażeni byli na napady rabusiów, i tylko odważni mogli podjąć się tak ryzykownej działalności. Ich „profesjonalność”, jak określa się teraz dobrych fachowców, była bardzo wysoka. Dowodem tego może być np. fakt, że w zawieranych z rolnikami transakcjach handlowych stosowali często tzw. zakup nierogacizny „na oko”, bez ważenia kupowanych sztuk i potrafili z dokładnością do 1 kg na 100 kg określić masę kupowanej świni. Kupione 2-3 sztuki świń dostarczały bychawskim rzeźnikom i masarzom, a także dowozili do stacji kolejowej w Niedrzwicy Dużej, oddalonej od Bychawy o 14 km, skąd transportowane one były do wielkiej, przemysłowej, nowoczesnej, na owe czasy, rzeźni w Lublinie. Sylwetkę bychawskiego zgonnika można było rozpoznać z daleka: masywny, ubrany w tzw. *spencer*, czyli watowaną kurtkę bez kołnierza, ale z rękawami błyszczącymi od stykania się ze zwierzętami, w buty z cholewami i czapkę „maciejówkę”. Zgonnicy byli ciągle w rozjazdach, często nocowali w wieskich stodółach, odżywiali się nieregularnie, byle jak, przeważnie kiełbasą, boczkiem lub inną wędliną z pieczywem, no i tego popijali mocniejsze trunki. Nie stornili od zwad i byli z tego powodu omijani przez bychawskich awanturników, ci byli odważni w stosunku do słabszych, ale czu-

li respekt przed zgonnikami. Jednym z typowych tej kategorii „przedsiębiorców” był niejaki Mietek Golewski, sąsiad urzędu gminnego, wówczas w 1930 r. dwudziestoparoletni młody zgonnik, pochodzący z tradycyjnej rodziny zgonników. Niewysoki, ale krępy, młody człowiek o okrągłej twarzy i pozornie pogodnych, dobrodusznym oczach. Widziałem go kiedyś jednak, gdy wypadł z łaską z restauracji Więclawicza, zwanego „Fają” za jakimś uciekającym adwersarzem i wtedy oczy jego miotały bardzo groźne błyski, a na twarzy uciekającego wypisany był autentyczny strach.

Zarówno wśród ludności polskiej, jak i żydowskiej, była też pewna liczba „proletariuszy”, zwanych wtedy wyrobnikami, którzy stanowili najbiedniejszą populację miasteczka. Były to całe rodziny utrzymujące się z doraźnych prac, albo też rodziny niepełne, czy osoby samotne. Do tych ostatnich należały trzy kobiety, które mieszkały w wałącym się domu w pobliżu rynku, a uprawiały niewątpliwie najstarszy zawód świata. Jedną ścianą ich marnego domostwa z oknem przylegała do placu, na którym, bawiliśmy się jako dzieci, i kiedyś ze zdziwieniem zobaczyłem, przez niezastonięte okno, dziwne towarzystwo. Przy stoliku siedział wspomniany już bychawski pijak obściskując jedną z mieszkanek lokalu, grubą i starą, w moim pojęciu, kobietę, choć mogła nie mieć ona wtedy nawet 30 lat. Druga z mieszkanek krzątała się przy stole, gdzie pojawiła się „zagrycha” i ćwiartka wódki. W pewnej chwili mężczyzna widząc w oknie nasze zacięzione twarze zerwał się ze swojego miejsca i głośno wrzasnął, wypłaszając nas z punktu obserwacyjnego.

### RAJ ŻYDOWSKICH SKLEPIKÓW

Liczni w Bychawie Żydzi utrzymywali się głównie z handlu i rzemiosła. Główna ulica Turobińska utkana była gęsto żydowskimi sklepikami. Kupić tam można było dosłownie wszystko, „oprócz ojca i matki”, jak mówiło ludowe porzekadło. Dowcip ówczesny wyśmiewał też, że można było kupić u Żydów nawet „wątpię”, podobno bowiem idącego raz z batem w ręce i rozglądającego się po ulicy chłopca zagadnął Żyd, pytając, czego potrzebuje. Chłop zatrzymał się i odpowiedział, że wątpi, czy u niego to dostanie. Żyd na to: poczekajcie, gospodarzu, zaraz znajdzie się i „wątpi” i pobiegnij szukać tego w sąsiednich sklepikach. Zaopatrzenie tych sklepików było zazwyczaj bardzo bogate. Były sklepiki z tekstyliami, zapchane towarami od podłogi do sufitu, z butami, z konfekcją, spożywcze, owocowe, zwane sodówkami (od wody sodowej), był

też sklep Żyda zwanego Siejwą, stanowiący szczególną atrakcję dla dzieci. Oferował ów Siejwa pistolety na korki, rewolwery na kapiszony, ołowianych żołnierzyków, latarki elektryczne, baterijki i żaróweczki do tych latarek, nożyki, szczyryki, najrozmaitsze zabawki, a przy tym także pyszną chałwę, czekoladki i cukierki. Kto tu wszedł, to już nie wychodził z pustymi rękami. Siejwa był młodym, szczupłym Żydem z pejsami, w czarnym *chałacie* i czapce zwanej *krymką* na głowie. Do dzieci odnosił się nie tylko grzecznie, ale w sposób nieodparcie zachęcający do jakiegokolwiek zakupu. Kupioną rzecz można było na drugi dzień bez problemu zamienić na inną, Siejwa nie robił najmniejszych trudności małym klientom, a często przy okazji wymiany zakupionego drobiazgu podsunął jeszcze coś nowego, atrakcyjnego. Było kilka piekarni żydowskich, był czapnik, byli też szewcy, krawcy, fryzjerzy, ślusarze, rzeźnicy, przy czym zajmowali się oni wyłącznie ubojem bydła, bo świnię, jako zwierzęta, z religijnego punktu widzenia nieczyste, nie wchodziły w ogóle w zakres ich zainteresowań. Dostawcą mięsa wołowego i cielęciny był, dla naszego domu, rzeźnik o nazwisku Merkrauch, okazały, brodaty Żyd ubrany zawsze w wytłuszczony *spencer*, którego jako małe dzieci, mówiąc szczerze, trochę się baliśmy, ze względu na jego wygląd i profesję. W rzeczywistości był on jednak łagodnym kupcem, dbającym o zbytnie swoich produktów i wcale się nie obrażał, gdy np. Mamusia kwestionowała jakość przyniesionego przez niego mięsa, ale zabierał je z powrotem, dostarczając za kilkanaście minut nową porcję wołowiny. Był też w Bychwie żydowski skład apteczny, czyli drogeria, istniała półhurtownia win i piwa, prowadzona przez Żyda o nazwisku Kramer, który zawsze przed świętami przynosił Tatusiowi w prezencie parę butelek „Okocimia” i wina. Byli poważni kupcy zbożowi, których senior, Himmel-farb, dorobił się pięknej piętrowej kamienicy, ale w 1932 roku wyjechał z całą rodziną do Palestyny. Na wesele jego córki w 1930 roku zaproszony był Tatuś i dużo opowiadał o ciekawym ceremoniale żydowskich ślubów i wesel. Szczególną kategorią byli tzw. „faktorzy”, a więc Żydzi spełniający wówczas rolę pośredników handlowych, agentów reklamowych i doradców prawno-ekonomicznych. Korzystali z ich usług głównie okoliczni ziemianie, którym faktorzy załatwiali zbyt produktów i zaopatrzenie gospodarstwa rolnego w kwalifikowane zboże siewne, w nawozy sztuczne, narzędzia itp. Najważniejszym faktorem w Bychawie był Dawid Himmelblum, reprezentujący głównie interesy najlepiej prosperującego na terenie

gminy Bychawa majątku p. Antoniego Budnego w Podzamczu pod Bychawą. Dawidek, bo tak był potocznie nazywany Himmelblum, był niskim starozakonnym Żydem z rudą brodą, ubranym w tradycyjny *chałat*, *jarmułkę* i czarne błyszczące lakierki. Całą „buchalterię”, czyli cyfrowy zapis stanu bieżących interesów Budnego, zapisana miał w małym kalendarzyku, który stale nosił przy sobie i w każdej chwili, korzystając z niego, mógł powiedzieć o ich aktualnym stanie. Niejednokrotnie w lecie Dawidek przychodził po urzędowaniu w gminie do Tatusia, siadali sobie na ganku gminnym i rozmawiali o różnych sprawach miasteczka i mieszkańców.

Na ulicach miasteczka często widywało się zaprzęgi konne, które przyciągały uwagę małomiasteczkowych dzieciaków, podobnie jak rzadkie jeszcze wówczas auta. Dla mnie, pamiętam, wielką przyjemnością była jazda drabiniastym wozem wyładowanym sianem przeznaczonym dla posiadanej przez nas krowy. Zbierane było z łąki oddanej Tatusiowi do użytkowania przez właściciela majątku **Podzamcze p. Antoniego Budnego** prowadzącego wysokotowarowe, wzorowe gospodarstwo rolne z wodnym młynem, wyposażonym w nowoczesną turbinę, a nie prymitywne koło wodne, gorzelnię i hodowlę bekonów eksportowanych do Anglii. Oprócz tej łąki p. Budny oddał Tatusiowi samorzutnie, z własnej inicjatywy, do użytkowania państwisko na tzw. Lipniku, położonym w sąsiedztwie bychawskiego cmentarza. Serwitut ten wynikał, jak sądzię z czystej sympatii p. Budnego dla Tatusia, czego dowodem mógł być fakt, że w okresie nagonki nie tylko nie wycofał się z tej uprzejmości, ale z naciskiem ją podkreślał do końca naszego pobytu w Bychawie, t.j. do 5 lipca 1935 roku. A. Budny był wtedy już w bardzo zaawansowanym wieku i w Bychawie pojawiał się, z oddalonego o około 3 km Podzamcza, bardzo rzadko. Widziałem go tylko jeden raz, gdy przyjechał powozem do urzędu gminy, przyjmowany z szacunkiem. Liczne interesy majątku załatwiał wspomniany już przeze mnie faktor Dawid Himmelblum, a bezpośrednio gospodarstwem rolnym kierował rzadca, p. Heliodor Niciengiewicz, młody wtedy, mający około 30 lat, sympatyczny mężczyzna z wykształceniem agronomicznym, poruszający się stale na siwym koniu z renomowanej stadniny Budnego. Energiczny, elokwentny, zawsze elegancko ubrany w buty z cholewami, bryczesy uszyte z wysokogatunkowego materiału i w jasną wiatrówkę. Twarz Niciengiewicza nie była ładna, ale dziwnie sympatyczna. Miał okazały nos, grube wargi, gęste, do góry zaczesane włosy i poruszał się z nieodłączną szpicrutą. Tragiczny był koniec życia p. Heliodora. Wkrótce po naszym wyjeździe opuścił i on Bychawę przenosząc się na własny folwarczek pod Nałęczowem. Tam też zastrzelili go Niemcy po wkroczeniu na Lubelszczyznę we wrześniu 1939 roku. Szczegółów tego tragicznego wydarzenia nie znam, ale nie wykluczone, że naraził się Niemcom hardą postawą.

*W następnym numerze min. o komunikacji*

# SPOTKANIA REGIONALNE

## po raz siódmy

Konkurs  
Stare przedmioty

Młodzi, i nie tylko, bychawianie, mieli kolejny raz okazję poznać pewne fakty z historii i tradycji swojej miejscowości. Wszyscy – okazję do refleksji: Bychawa – moja, twoja, nasza. Miejsce urodzenia, nauki, pracy.

*mają Paryż Francuzi, a Berlin mają Niemcy*

*my mamy swą Bychawę i jest nas 5 tysięcy (a ściślej: nieco więcej!)*

*tu dom masz i rodzinę, masz kumpla i dziewczynę*

*tutaj twoje skromne mienie i stąd twoje są korzenie*

Te z przymrużeniem oka piosenki można śpiewać, nie bacząc na posądzenie o prowincjonalizm, czy skrajny lokalny patriotyzm. Ani jedno, ani drugie, nie ma przecież z zasady pejoratywnego zabarwienia.

Siódme Spotkania Regionalne zorganizowano 7. czerwca b. r. w BCK, przy współpracy tej placówki, a zwłaszcza Biblioteki Publicznej (przygotowanie wystawy fotograficznej: *Bychawa w I. poł. XX w.*). To jedna z imprez zamierzona już w kulturalnym kalendarzu. Pewnie słusznie sądzą niektórzy, że powinno się ją nagłośnić w telewizji. Ponieważ tak się nie stało, przedsięwzięcie było na użytek wewnętrzny, miejscowy. Ale nie skończyło się festykiem. Z założenia. Spotkania można traktować jako przedłużenie czy dopeł-

nienie dni miejscowości, jednak z przewagą celu edukacyjnego. Dobrze, że do proponowanych w ramach spotkań konkursów zgłaszają akces szkoły – zawsze niezawodnie Szkoły Podstawowe w Bychawie, Woli Gałęzowskiej, Gimnazja Nr 1 i Nr 2 w Bychawie, często też obie bychawskie szkoły ponadgimnazjalne („Hubal” i „Kwiatkowski”), tym razem też Szkoła Podstawowa w Zaraszowie.

Rywalizacja w konkursach dowiodła, że luk w wiadomościach na temat swojego miasta jest jednak sporo. I temu, żeby to zmienić, służą właśnie takie imprezy z konkursami. Nasuwa się wniosek, że start w nich powinien być efektem częstszego zaglądania do

regionalnych publikacji, a nie tylko jednorazowego przedkonkursowego kontaktu. Przecież dodatek do GZB (Głos regionalistów) jest ogólnie dostępny, a koszt jego wydania poniekąd pokrywamy my wszyscy. Korzystajmy z niego. Biblioteki, również szkolne, ze względu na obecność ścieżki regionalnej w programach, też gromadzą i udostępniają materiały o regionie.

Uczniowie wcześniej wymienionych szkół podstawowych oraz dwóch gimnazjów rozpoznawali przedmioty codziennego użytku w gospodarstwie wiejskim z I. połowy XX w i wcześniej. Opowiadali, jak przebiegał proces domowej produkcji wyrobów z mleka, wypiek chleba. Tara, balia, wyżymaczka, dzieża, kociuba, radło i in. – to nazwy dla młodzieży najczęściej tylko zastyszane lub nie niemówiące. Poznawanie ich to odkrywanie dawnej kultury, tradycji pracy i obyczajów.

Odstępując od stereotypu wskazywania najlepszych, wyłonionych w konkursach, odpowiedzmy raczej na pytanie; co interesującego zaproponowały poszczególne szkoły?

*Przyspiewki moje prababci* ciekawie wypadły w wykonaniu Szkół Podstawowych z Bychawy, Zaraszowa i Gimnazjum Nr 1 w Bychawie, przygotowane pod kier. p.



fot. R. Rusinek

Krzysztofa Mendykowskiego, p. Marka Trzcńskiego.

*Stare przedmioty* najtrafniej rozpoznawali uczniowie Szkół Podstawowych w Bychawie, Woli Gałęzowskiej i Zaraszowa, przygotowani przez pp. Teresę Tracz, Kazimierza Walczaka, Krystynę Pruś.

Najciekawsze *Obrazki z przeszłości* oraz rysunki uczniów: *Moja wycieczka w przeszłość Bychawy* (wykonane pod kier. p. Grażyny Ozimek) przygotowały: Szkoła Podstawowa w Bychawie i Gimnazjum Nr 2 w Bychawie. Obrazki wg sce-

wających w Bychawie w większości trafnie wskazali uczniowie ZSZ im. mjr. Dobrzańskiego „Hubala” oraz Gimnazjum nr 1, przygotowani przez p. Dariusza Góździa oraz p. Janusza Szałka.

Konkurs piosenki autorskiej o Bychawie, który wzbudził duże zainteresowanie, ze względu na większą liczbę zgłoszeń będzie kontynuowany w drugim terminie powakacyjnym.

Dotację finansową na realizację Spotkań zapewniły władze samorządowe, większość kwoty prze-



Na widowni uczestnicy tegorocznych Spotkań Regionalnych, fot. R. Rusinek

nariuszy p. Teresy Tracz i p. Magdaleny Stacharskiej.

Własnym rodowodem zainteresowała nas ucz. Anna Sprawka z LO ZS im. Ks. A. Kwiatkowskiego w Bychawie, opowiedzianym bez pomocy kartki i przedstawionym plastycznie w formie drzewa genealogicznego (ukierunkowała p. Marta Kloc – Kusy)

– Wybitnych Polaków przeby-

znaczono na skromne, ale na pewno celowe nagrody: mapy, atlasy świata, globusy, leksykony wzbogacając zasób pomocy szkolnych. Niestety, zabrakło już środków na nagrody indywidualne, za co przepraszamy, dziękując w tym miejscu wszystkim uczestnikom oraz nauczycielom – instruktorom.

Organizatorzy

## Hodowlany biznes dziedzica z Podzamcza

Czy wie Pan, kim był Antoni Budny – zagadnęłam starszego pana siedzącego na ławce w parku. Budny...? Budny ...? To zdaje się być dziedzic... Tak. Tak nazywał się dziedzic z Podzamcza. Trzymał u siebie w majątku piękne konie... Chodziliśmy z bratem jako dzieciaki pod dworskie stajnie sobie popatrzeć... A matka moja wynajmowała się do dworu do obrządku i mówiła, pamiętam, o wielkich świniach w chlewni Budnego, że były całkiem niepodobne do tych chłopskich ze wsi...

Niewiele ponad to lokalna pamięć zachowała o ostatnim dziedzicu i właścicielu Podzamcza. Może jeszcze kilka szczegółów z życia osobistego, których wiarygodności nie warto weryfikować. Tymczasem w piśmiennictwie specjalistycznym dotyczącym hodowli zwierząt gospodar-

skich, zwłaszcza w latach 1900-1914, a i potem, w okresie międzywojennym, choć już rzadziej, nazwisko Budnego pojawia się często. Znane jest w kręgach ziemian – hodowców specjalizujących się w chowie zwłaszcza trzody chlewnej i jej eksporcie. Ten czołowy hodowca sprawił, że Bychawa znalazła się na pierwszym miejscu wśród ośrodków hodowlanych Królestwa Polskiego i Rosji (Bychawa do nowego podziału politycznego po I wojnie światowej pozostawała pod zaborem rosyjskim).

Kiedy w 1890r. 29-letni Budny stał się po Duniewskich właścicielem Podzamcza, postanowił nie odbudowywać opustoszałej już od kilku lat i zagrożonej ruiną siedziby poprzednich dziedziców, lecz postawił nieopodal nowe budynki gospodarcze i skrom-

ny dworek. Na 1162 ha ogólnego arealu dóbr Budnego w Podzamczu 672 ha to była ziemia orna, 314 ha las (do dziś istnieje określenie „las Budnego” – miejsce wędrowek grzybowiczów), reszta – łąki. Rozległość i soczystość ich traw sprzyjała hodowlanym zamysłom właściciela.

Rodzice Teofil Budny i Józefa z Lisieckich gospodarowali w Sieluniu pow. w guberni łomżyńskiej, tu właśnie urodził się Antoni 15 lutego 1861r.

Po maturze uzyskanej we Włocławku podjął studia w Instytucie Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa (wówczas Nowa Aleksandria) w Puławach, a potem praktykował w majątkach ziemian – hodowców, z których w Lubelskiem słynął z dobrych wyników w hodowli Antoni Bobrowski ze Snopkowa, znany też

był właściciel Garbowa k. Puław Aleksander Jezierski. Ojciec Antoniego prowadził w tym czasie majątek Wygnanowice w powiecie krasnostawskim i tu syn, zanim się usamodzielniał i zakupił Podzamcze, przez 4 lata też uczył się praktycznie rolnictwa i hodowli. Z właścicielem Snopkowa wybrał się młody Budny na zakup zwierząt do Anglii. Jak się miało wkrótce okazać, udawał się tam potem, już w swoich interesach, wielokrotnie, przed I wojną światową zdarzyło się to 22 razy! Nie bacząc na koszt, trudy i długość podróży w ówczesnych warunkach. „*Nie ma ważniejszych wystaw w Anglii, nie ma wybitniejszej chlewni, której by nie odwiedził. Kupuje zwierzęta zawsze osobiście, a nie przez pośredników, jak to było powszechnym zwyczajem. Interesują go tylko hodowle o światowym rozgłosie (...). Wzorem hodowców angielskich nie żałuje pieniędzy, jeżeli chodziło o nabycie wybitnego rozpłodnika.*” pisze Wiesław Kranfort (Karty z dziejów zootechniki polskiej na 50 lecie PTZ, PWRL, 1973).

W chlewniach Budnego pojawiły się wkrótce bardzo rzadkie

i cenne rasy świń wiodących się z najlepszych hodowli angielskich i polskich. Za knura ze sławnej hodowli Ellsmera z Worsley (Anglia), czempiona królewskiej wystawy, wykłada w 1908 r. 100 gwinej (równowartość 1100 rb.). A dwa lata potem za innego rekordową sumę 200 gwinej. Oplaciło się – zwierzę uznano za najlepszy okaz, jaki w tamtym czasie trafił do Polski i Rosji.

Specjalizacją hodowli Budnego była początkowo rasa średnia biała, ale podążając za kierunkiem najnowszych hodowców angielskich, bychawski hodowca przedstawia się wkrótce na rasę wielką białą, gwarantującą mu rynek zbytu nie tylko w Królestwie, ale i w Rosji. Skrzyżowanie zaś ras średniej i wielkiej pozwala na wyhodowanie osobników charakteryzujących się wielkimi rozmiarami tuszy, lecz o małej głowie i zadartym ryju. Zacytujmy: „*Imponuje wielkością zwierząt, a jednocześnie honoruje upodobania lokalne. Zyskuje na popularności, a w określeniu „świnia bychawska”, albo rasa Budnego*”

c. d. w następnym nr-ze